

**Doniesienia z krainy ciemności.
Listy z 1993 roku (fragment)**

Przełożył Miłosz Waligórski

„Kochana Andreo,

Przynaję, że masz rację, a Twoja gwałtowna reakcja jest niestety uzasadniona (już ją słyszę wypowiedzianą Twoim głosem i od razu widzę Twoją twarz – Boże, jaka będziesz piękna, gdy przeczytasz ten list i jak bardzo żałuję, że nie będzie mnie wtedy przy Tobie!). Ale nic nie mogę zmienić (w sumie takiego mnie kochałaś i pewnie ciągle właśnie takiego mnie kochasz). Wiem, że to straszne i tylko do mnie podobne, że o swoich najintymniejszych wspomnieniach mówię ci dopiero teraz, kiedy odjeżdżam, ale inaczej nie mogę i uważam, że nie jestem temu winien (a przynajmniej nie tylko ja). Ty to zauważyłaś i wyjaśniłaś nam obojgu, że moja niezdolność do nawiązywania prawdziwej, najgłębszej bliskości nie wynika z chłodu mojego serca, ale ze strachu albo czegoś jemu pokrewnego. A strachu nie zadajemy sobie sami, prawda?

Nie mogłem wówczas o tym rozmawiać, ale już w tamtym czasie było dla mnie jasne, że nie chodzi tu o strach, obawę wywołaną przez coś konkretnego, ale o lęk, brak niezłomnej pewności, rozwiewającej wątpliwości i chroniącej nas przed niepokojem. Nie czułem strachu (cóżby mogło go wzbudzić w moim spokojnym życiu, tak bardzo wolnym od podniecenia, dramaturgii i rzeczywistości?), ale też nie było we mnie tego, co nas przed nim broni i nie pozwala mu nawet się zbliżyć. Kiedy pierwszy raz o tym rozmawialiśmy, wiedziałem już, że to tak wygląda i wiedziałem, że muszę przypisać to mojemu ojcu Paulowi, to znaczy mojej z nim relacji.

Oczywiście nie chcę powiedzieć o nim nic złego (nie mógłbym, nawet jeśli bym chciał) – jedynie stwierdzam, że nie był człowiekiem, z którego emanuje poczucie bezpieczeństwa, a już na pewno nie kimś, kto zaraziłby pewnością swojego syna. Przeciwnie, spojrzenie na niego wybijało mnie z równowagi, którą osiągałem dzięki matce i spokojnemu rytmowi moich dni. W wyglądzie ojca i w ogóle w nim całym było coś niewłaściwego, coś niesolidnego, co wszystkiemu wokół niego odbierało pewność i stwarzało wrażenie tymczasowości. Jakby wynajął samego siebie, jakby był nie na swoim miejscu albo istniał tylko częściowo. Tak, on po prostu się nie dokończył, rzecz w tym, że do śmierci został człowiekiem potencjalnym, możliwością, której nie udało się wykorzystać, urzeczywistnić i przekuć na konkretną całość, wyposażoną w to wszystko, co stanowi o człowieku. Pewnie dlatego też nie mogłem zbudować z nim relacji, jakie zazwyczaj wiążą ojca i syna

– on nie miał nawet mglistych konturów, a co dopiero całościowej formy, do której mógłbym się ustosunkować.

Od razu można było to zauważyć, choćby na podstawie jego wyglądu. Wszystkie pary spodni były dla niego albo za długie, albo za krótkie. Można by pomyśleć, że wymyślałam, ale matka odbierała to tak samo. Sama zabiegała o to, żeby u dobrych krawców zamawiać mu garnitury na miarę. Szli, ale bez skutku, bo zawsze spod spodni wystawały kostki albo przy końcu nogawek robiły się krępujące fałdy. Ilu dwoiło się i troiło, ilu się namierzyło, a to spodni, a to ojca, ile matka trików nawymyślała i ilu krawców odwiedziła – na moim ojcu spodnie zawsze były albo za długie, albo za krótkie, a w naszym domu panowała atmosfera niezręczna i niepewna, której przyczynę stanowiły fałdy wokół ojcowych kostek albo jasne skarpety, wystające kpiąco spomiędzy butów i spodni. A ojciec jak na złość miał niezdrową słabość do ciemnych garniturów i jasnych skarpet, które, przypuszczam, były dla niego symbolem dobrze ułożonego i porządnego życia. Gdybyś tylko mogła wiedzieć, kochana Andreo, gdybyś tylko mogła sobie wyobrazić, ile nieprzyjemności i zakłopotania wywoływały i rozsiewały wokół siebie te skarpety! Nie tylko we mnie, ale, obiektywnie, w całym domu.

Niezręczność, która wychodziła z jego spodni, to na pewno jeden z powodów naszego oddalenia (nie można być blisko z kimś, kto pokazuje się w pożyczonych spodniach, a mój ojciec Paul do śmierci wyglądał jak osoba, która nosi nie swoje spodnie). Uważam, że drugą przyczyną był sposób, w jaki mówił, ale też to, co mówił. Nie wiem, jak normalni ojcowie rozmawiają ze swoimi synami, ale wydaje mi się, a wręcz jestem pewien, że zupełnie inaczej niż rozmawiał ze mną mój ojciec. Nigdy ode mnie nie oczekiwał, żebym coś robił lepiej, nigdy nie wymagał sukcesu, nie przekonywał mnie, że mogę czegoś dokonać niezależnie od trudności, nie mówił, że coś muszę, bo tylko ja to potrafię. Jedyne, co miał mi do powiedzenia, to ostrzeżenia, przestrogi i żądania, żebym się nie spoufaliał i nie wychylał. Jedyne jego zdanie, które do dziś słyszę uchem wewnętrznym, jedyne zdanie, które może być wypowiedziane tylko jego głosem, bo niezliczoną ilość razy słyszałem je z jego i tylko jego ust: „Najgorsza rzecz, która może się człowiekowi przytrafić to rzucić się w oczy i zostać zauważonym, przynajmniej jak się jest w naszej sytuacji”. Nigdy jednak nie wyjaśnił, co to za „nasza sytuacja” i czym „nasza sytuacja” różni się od „ich sytuacji”, zwłaszcza tych szczęśliwców albo i nieszczęśliwców, którzy mogą rzucić się w oczy i być dostrzegani.

Myślę, że na nasz stosunek rozstrzygająco wpłynęła jego tajemnica. Ostatecznie, można być blisko z ojcem, który zawsze wygląda, jakby był w pożyczonych spodniach, i można być blisko z ojcem, który nie zwraca się do nas jak ojciec (może i można), ale na pewno nie można być blisko z ojcem, którego jakaś tajemnica oddziela od reszty rodziny. A mój ojciec miał tajemnicę, do której matka i ja nie mieliśmy dostępu. Od czasu do czasu wycofywał się do swojego pokoju i zostawał w nim dwa, trzy dni, a my musieliśmy udawać, że wszystko toczy się normalnie – gdy zdarzało się to w dni robocze, matka prowadziła rodzinną aptekę, sypiała w pokoju dziennym i udawała, że tak jest w porządku, prosiła mnie, żebym z nią jadał, żebyśmy mieli jako takie rodzinne

obiady... Z pobytów w pokoju ojciec wracał blady, zmęczony i spokojny; wracał do swoich obowiązków, jak gdyby nigdy nic, a my dalej próbowaliśmy udawać, że nie zauważyliśmy jego nieobecności, której powodów nie znaleźliśmy i której nie komentowaliśmy. Nie było o niej mowy, tak jak w porządnym rodzinach nie wspomina się o chorobie albo więzieniu kogoś z domowników.

Jestem pewien, że jego tajemnica spowodowała nieporozumienie, którego nie potrafię sobie wybaczyć, chociaż nie jestem, ani nie mogę być za nie odpowiedzialny – gdzieś głęboko czułem i dorastałem w przekonaniu, że na moim ojcu ciąży jakaś wielka wina.

Lata mojego dojrzewania to równocześnie czas poważnych kryzysów, przez wielu interpretowanych jako nieszczęścia. W pewnym stopniu wpłynął na mnie kryzys algierski i rozruchy w sześćdziesiątym ósmym – w naszym domu często analizowano i komentowano te wydarzenia. Poza tym Algieria potwierdziła podział naszej rodziny na ojca i nas dwoje, ojciec mówił, że „oni muszą stracić Algierię, bo nie lubią Arabów, a nawet ich nienawidzą”, podczas gdy matka zaciekle pytała, dlaczego nas w Algierii atakują, skoro ich cywilizowaliśmy, rozwijamy u nich przemysł a nawet pozwalamy im osiedlać się u nas. Wnioskowałem, że „oni” ojca to ci sami, co „my” matki i na tej podstawie zrozumiałem, że na spór o Algierię przeniósł się istniejący w naszej rodzinie podział, wynikający z ojcowskiej tajemnicy, która na dwa, trzy dni przenosi go do pokoju i do której ani matka, ani ja nie mamy dostępu. Ponieważ byliśmy z niej wyłączeni, zarówno dla mnie, jak i dla matki ci, którzy w Algierii atakowali, stali się „nasi”, ewentualnie byli określani jako „my”. Pojąłem, że to, co dzieje się w Algierii jest jednym wielkim nieszczęściem, i że to nieszczęście wiąże się bezpośrednio z ojcową tajemnicą, dotarło do mnie, że ojciec jest w jakiś sposób odpowiedzialny za nieszczęście, które nas dotyka. Potwierdzeniem dla moich odczuć były jego reakcje na kryzys algierski, często wypełnione gniewem, a prawie zawsze żalem i rozczarowaniem.

Wydarzenia 1968 pamiętam zupełnie wyraźnie, byłem wtedy już młodzieńcem. Nasza rodzina znowu się podzieliła, tym razem na trzy części. Ja byłem całkowicie pochłonięty zbliżającym się końcem roku szkolnego i mistrzostwami Europy w piłce nożnej we Włoszech. Dlatego, ale pewnie też z powodu młodego wieku, pozostałem obojętny wobec wszystkich buntów, demonstracji i stron konfliktu – tak że do dzisiaj nie umiem powiedzieć, kto się wtedy przeciwko komu buntował i dlaczego. Matka przejmowała się zamieszkami, utrudnieniami w komunikacji, niebezpieczeństwem na ulicach i twierdziła, że państwo, jeśli nadal zamierza pobierać podatki, musi karać tych, którzy te zamieszki prowokują. Ojciec tymczasem wpadł w stan uniesienia dotychczas u niego niewyobrażalny. Przekonywał nas, że musi z tego wyniknąć coś dobrego, ponieważ zbuntowali się młodzi, szczerzy i dobrzy. Wyjaśniał, że przez ten bunt młodzi powiedzieli „im” jasno, że nie zgadzają się z „ichnim” światem aroganckiej jedności i utrzymywał, że nic lepszego nie mogło nam się przydarzyć. Zapewniał, że „jutro będzie dobrze, tak bardzo dobrze” i śmiał się z rozgniewanych reakcji matki na niebezpieczne ulice i niepunktualne autobusy.

Czy stan uniesienia, tak obcy jego naturze, wyczerpał siły duchowe mojego ojca? Czy dzieło rewolucji zawiodło jego śmiałe nadzieje, czy stało się jeszcze coś innego,

co zostało przede mną zatajone? Nie wiem, wiem tylko, że z początkiem jesieni '68, kiedy niepokoje społeczne zaczęły milknąć i życie powoli nabierało dawnego rytmu, ojca pochłoneła głęboka melancholia. To nie tylko kryzys woli, brak wiary w życie, dobro i sens istnienia, był to stan dziecięcego, całkowitego zagubienia i bezbronności. Prawdopodobnie właśnie dzięki niemu w końcu się zbliżyliśmy.

Ojciec odczuł chyba, że nadchodzi jego kres, otworzył się na mnie i ze wszystkich sił, które mu zostały, starał się zbudować bliskość między nami (starał się nadrobić to, przed czym się dotychczas powstrzymywał). I kiedy tylko obaj byliśmy w domu, zwierzał mi się, opowiadał o swoim ojcu i własnej młodości, wprowadzał mnie w swoją tajemnicę i pokazywał, jak wyglądały dni, które spędził zamknięty w pokoju, całkowicie odcięty od świata.

Tajemnica jego życia składała się ze starodawnego nakręcanego gramofonu z trąbką, dwóch dużych prastarych płyt i cienkiego pliku tekstów, przede wszystkim notatek i listów pisanych po francusku albo niemiecku. To mu zostało po ojcu Maksie, który w 1938 zginął w Hiszpanii jako lekarz wojsk republikańskich. Dziadek Maks pod koniec 1920 jako młody człowiek, ale już bardzo doświadczony lekarz przyjechał do Paryża z Sarajewa. Przywiózł ze sobą dwie płyty gramofonowe z popularną tam muzyką – jedną z utworami sefardyjskimi, drugą z najchętniej słuchanymi tam piosenkami, nazywanymi sevdalinkami albo jakoś podobnie. (W tym momencie powinienem Ci wyjaśnić różnicę między dwoma grupami Żydów w Sarajewie, spośród których jedni to Aszkenazyjczycy, pochodzący z północy, a drudzy Sefardyjczycy, pochodzący z Hiszpanii. Powinienem jeszcze wyjaśnić Ci stosunki między tymi dwoma grupami Żydów wewnątrz wspólnoty żydowskiej, stosunek tej wspólnoty do innych kręgów kulturowych, które tam istnieją i różnie się nazywają, a także skomplikowaną strukturę całego tego świata. Powinienem, ale nawet nie spróbuję z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, sam tego nie wiem, dla mnie samego nie wydaje się to wystarczająco jasne, wbrew staraniom ojca, który zresztą też nie do końca to wszystko rozumiał. Po drugie, nie mogłabyś tego pojąć, ani ty, ani nikt inny tutaj, nie mogłabyś, nawet gdybyś chciała, nawet gdybyś myślała, że to kwestia wysiłku i rzeczywiście bardzo się starała).

Jako bardzo dobry fachowiec, który połączył talent, dobre wiedeńskie wykształcenie i bogate doświadczenie lekarza wojskowego austriackiej armii podczas Pierwszej Wojny Światowej, mój dziadek Maks w czasie piętnastu lat pracy w Paryżu zyskał poważanie, przyjaciół, stałych pacjentów i solidny majątek. Poza tym, w prawdziwie szczęśliwym małżeństwie, w 1925 zyskał również mojego ojca Paula. Potem w 1937 wszystko to zostawił i wyjechał do Hiszpanii, żeby przyłączyć się do międzynarodowych brygad armii republikańskiej.

Jak już powiedziałem, moja babcia naprawdę go kochała i starała się pielęgnować swoją i Paula pamięć o nim. W domu często go wspominali, kultywowali wszystkie codzienne rytuały wspólnego życia rodzinnego i wszystkie święta, które obchodzili, kiedy jeszcze byli w komplecie. Wprowadzili nawet zwyczaj świętowania urodzin Maksa.

Podczas każdej rodzinnej uroczystości słuchali jego płyt, czytali listy, które po nim zostały (choć niewiele wiedzieli o ludziach, z którymi korespondował), w trakcie rozmów przypominali sobie to, co wiedzieli o jego dawnym kraju rodzinnym, wspominali i tęsknili za nim. Mimo to babcia postarała się, żeby ojciec nie studiował medycyny, tylko farmację. Chyba liczyła na to, że w ten sposób mały uniknie powtórzenia losu dziadka. Nie brała pod uwagę, że męża do Hiszpanii zaprowadził jego charakter albo przeznaczenie, a nie zawód.

Mój biedny ojciec dużo musiał się uczyć, zanim poświęcił się pięknej sztuce apteekarskiej. Musiał, na przykład zrozumieć, że jeden z jego przodków przyjął chrześcijaństwo, ale on sam, dziwnym zrzędzeniem losu otrzymał wygląd, który jasno wskazuje na to, że jego jeszcze starsi przodkowie byli Żydami. Musiał nauczyć się, że wprawdzie nie wiadomo, jak wygląda normalny chrześcijanin, ale za to w zastanych czasach bardzo dobrze wiadomo, jak wygląda Żyd. Musiał nauczyć się, że przeciętny Żyd wygląda dokładnie tak jak on, chociaż sam, tak jak kilka generacji jego przodków, Żydem nie jest. Musiał nauczyć się, że chociaż, wbrew żydowskiemu wyglądowi, mógłby udowodnić, że nie jest Żydem, to jednak w sytuacji, kiedy można w związku z sobą coś udowodnić, jest już na wszystko za późno. Musiał się nauczyć, że z góry skazuje się na porażkę ten, kto coś udowadnia i usprawiedliwia, bo o jego przegranej stanowi już to, że w ogóle tego próbuje.

Tego wszystkiego musiał nauczyć się mój ojciec, kiedy dotarła do Francji Druga Wojna Światowa, ta sama wojna, którą jego ojciec bezskutecznie próbował powstrzymać w Hiszpanii. Wszystkiego tego nauczył się od swojej matki, mojej babci, której dobrze nie pamiętam, od tej odważnej kobiety, która skoro straciła męża, za wszelką cenę starała się ocalić syna. Tymi naukami pokazała mu, do jakiego stopnia jest w stanie go chronić. Miał piętnaście lat i musiał zamknąć się w domu, przyzwyczaić się do noszenia czapki zakrywającej jego za ciemne, za gęste i zbyt kręcone włosy, a spacerować ograniczyć do trasy szkoła – dom, przy czym musiał również uważać, żeby ten odcinek pokonywać z kimś, po kim od razu widać, że jest normalnym Francuzem.

Mimo wszystko, niezależnie od stopnia izolacji, widział, że Żydzi znikają. Dowiadywał się, że sąsiedzi i przyjaciele w tym znikaniu im bezinteresownie pomagają, podczas gdy reszta obserwuje to z kompletną obojętnością, przejętą swoją niedolą i strachem. Zrozumiał, że aby samemu nie chodzić po ulicy, musi podtrzymywać wszystkie znajomości, i pojął, że jeżeli nie ma ochoty zniknąć, nikomu nie może zwierzać się ze swoich myśli, lęków, ani niczego innego. A znikać mu się nie chciało.

Przypuszczam, że przez to ojciec został Żydem i stracił zdolność bycia z ludźmi blisko. Wyobraź sobie cztery lata, podczas których przed każdym Twoim wyjściem z domu rodzona matka informuje Cię, że widać, jak bardzo żydowski masz wygląd! Cztery lata, podczas których przejmujesz Cię los nieznanymi ludzi, którzy giną tylko dlatego, że są Żydami! Cztery lata, kiedy każdy zaginiony uświadamia ci, że równie dobrze mogło się to zdarzyć Tobie, bo ktoś, byle kto, mógł sobie pomyśleć, że wyglądasz dokładnie jak Żyd. A to wszystko tylko dlatego, że twój przyjaciel, sąsiad albo znajomy wpadł

na pomysł, że byłoby dobrze mieszkać w Twoim mieszkaniu, stwierdził, że w tym mieszkaniu na pewno jest mnóstwo pieniędzy, zaświtało mu, że od siebie oddali niebezpieczeństwo, jeśli skieruje je na Ciebie.

Opowiadał mi, że jeszcze trudniejsze były pierwsze lata po wojnie, kiedy widział, jak ci, którzy pomagali zniknąć Żydom zostają wziętymi przedsiębiorcami, bojownikami o wolność człowieka i wolność jako taką, żarliwymi obrońcami ludzkich praw, specjalnymi komisarzami ds. osób zaginionych, patriotami czy dobrymi sąsiadami. Opowiadał mi, jak kilka lat po wojnie wrócił do religii swoich dalekich przodków (nie mógł wrócić do ich wiary, wiarę stracił na zawsze). W tamtych latach wiedziony prawdziwie szaloną potrzebą wprowadził zwyczaj zamykania się w pokoju, rozmyślał o Sarajewie, z którego uciekł jego ojciec i wysłuchiwanie jego płyt. Maks uciekł ze świata, w którym ludzie i grupy kulturowe tak bardzo różnią się od siebie i tych różnic strzegą tak zazdrośnie, że niewprawione oko może w tym dostrzec wzajemną nienawiść. Przybył tutaj z przeświadczeniem, że życie jest prostsze i piękniejsze w świecie, w którym wszyscy są jednakowi i współtworzą jedną i jedyną grupę identycznych sobie. Tymczasem jego syn (a mój ojciec) przekonał się, że człowiek nigdy nie może być dostatecznie jednakowy i bywa, że nadchodzą czasy, kiedy ta niejednakowość przynosi niektórym wiele korzyści, przez co nie pozwalają innym być jednakowymi na tyle, na ile byłoby to możliwe.

W tym czasie, powiedzmy przez pierwszych dziesięć lat po wojnie, zbierał i czytał wszystko, do czego mógł dotrzeć, a co miało związek z krajem rodzinnym swojego ojca. Studiował różnice między Sefardyjczykami i Aszkenazyjczykami, zgłębiał historię Bałkanów i wspólnot religijnych w Bośni, czytał sprawozdania francuskich podróżników z tamtych rejonów i komentarze etnologów, antropologów i folklorystów o codzienności i zwyczajach opisanych w tych dziennikach podróży. Starał się dowiedzieć jak najwięcej o wypędzeniu muzułmanów i Żydów z Hiszpanii, o sytuacji Żydów w Imperium Osmańskim, o okolicznościach i ścieżkach, które przywiodły Aszkenazyjczyków do Bośni do Sarajewa. Namiętnie badał spuściznę po ojcu, składającą się przede wszystkim z listów i notatek z różnych dziedzin, często zupełnie niezrozumiałych, a równocześnie pochłaniał wszystko, co mogło poszerzyć jego wiedzę na temat stron rodzinnych ojca i innych kwestii poruszanych w notatkach. W to wszystko wczytywał się z pasją i wielką uwagą, jakby miał nadzieję, że identyfikując się z ojcem, a właściwie konstruując jego własny wizerunek (zbyt słabo go pamiętał, żeby mógł się z nim utożsamiać), dopełni samego siebie, zrobi z siebie człowieka i zaistnieje w świecie.

„Dużo się nauczyłem” – mówił mi w ostatnich miesiącach życia – „ale jeszcze więcej zrozumiałem. A najmniej rozumiałem logikę, która zaprowadziła mojego ojca Maksą do Hiszpanii. Powiedzmy, że śmierć przywołuje nas do miejsc, które nas pamiętają; dajmy na to nam zmęczonym i przerażonym tym, co nas czeka, na chwilę przed śmiercią zachce się pobyc w naszych stronach, w świecie przynajmniej trochę nam znanym. Załóżmy, że tak wygląda powrót do korzeni, o którym dzisiaj mówi się tak dużo. Ale to wszystko nie ma związku z tym przypadkiem! Nasi przodkowie, jeśli dobrze zrozumiałem, przybyli do Sarajewa z północy, a nie zostali wygnani z Hiszpanii.

Zatem w Hiszpanii o ojcu nie mógł pamiętać ani jeden kamień, ani jeden potok, tam nie ma jego korzeni i pamięci, tam nie ma śladów jego obecności w świecie, ani rzeczy, które go pamiętają. Cóż więc zaprowadziło go do Hiszpanii, jeśli nie poszukiwanie korzeni? A może jednak jesteśmy z Hiszpanii, a on wyjechał, żeby umrzeć tam, skąd byli jego praojcowie i gdzie mógł o nim pamiętać przynajmniej jeden kamień? I bądź tu mądry!”.

W nabożnym skupieniu puszczał mi swoje płyty i był wielce oburzony, gdy nie okazywałem zachwyty. Po prostu nie mogłem udawać, że ta muzyka mi się podoba, na pewno byłoby gorzej, gdybym próbował, bo kłamstwo od razu rzuciłoby się w oczy. Przez nieopisane charczenie, rzężenie i chrobotanie porysowanej i od dawna zużytej płyty raz po raz przebijają się jakiś ton albo ludzki głos, ale żaden normalny człowiek nie mógłby jednoznacznie określić, co jest bardziej nieprzyjemne, udużnione i nieludzkie – melodia tych piosenek czy zakłócenia techniczne zniszczonej płyty. Szczególnie straszne są piosenki, które on nazywał sevdalinki, śpiewane głosem przypominającym skowyt przeklętych dusz na pustyni. Nie, nie mogłem udawać, że mi się podobają, moje przekonywanie zrozumiałoby jako podśmiewanie się i kpinę ze świętej dla niego pamiętki.

Po kilku próbach oszczędził mi słuchania płyt i już tylko rozmawialiśmy. W sumie to on mówił, spowiadał się i zwierzał. Po przeżyciach z '68 przez kilka lat całymi dniami przez długie godziny, jak tylko obaj byliśmy w domu, robił to, czego przez całe życie mi zabraniał. Jakby się usprawiedliwiał albo raczej starał się zrozumieć, dlaczego stał się taki i nie dopuścił do tego, żebyśmy byli blisko, tak blisko jak prawdopodobnie, a raczej na pewno, mogliśmy ze sobą być.

W ostatnich latach jego życia podczas niekończących się rozmów dobrze go poznałem i sądzę, że w czasie tych spotkań on poznawał również sam siebie, pojmował i sam sobie tłumaczył siebie i swoje życie. Właśnie w trakcie jednej z takich konwersacji stwierdził, że to dziwne, że nigdy nie wyjechał do Sarajewa, żeby zobaczyć świat, z którego jego ojciec uciekł, a który jemu wydaje się tak piękny. Wtedy wyjaśnił nam obu, że nie wolno niczego sprawdzać, jeśli raz na zawsze straciło się wiarę, tak jak on ją stracił. „Jakkolwiek by było dobrze – perorował – nie może być aż tak dobrze, jak to sobie wyobrażam. To znaczy, że mój obraz miasta nie wytrzymałby konfrontacji z jego prawdziwym obliczem. Bezwrotnie bym go utracił, a mnie się zupełnie nie opłaca rezygnować z wyobrażeń, nawet jeśli miałyby być tylko iluzją”.

Dobrze go poznałem i wierzę, że go rozumiałem, ale było już za późno, żeby nasz stosunek diametralnie się zmienił. Kiedy rozpoczęły się nasze rozmowy, byłem trzynastoletnim młodzieńcem, zdążyłem już dorosnąć w obecności ojca, który w moim mniemaniu był naznaczony winą i oddzielony ode mnie tajemnicą, ojca, który nie mógł mnie chronić, a jedynie przestrzegał przed zagrożeniami i nie mógł zapewnić mi bezpieczeństwa, ponieważ zawsze robił wrażenie kogoś, kto od krewnego albo innego dobrego człowieka pożyczył spodnie, a może i siebie samego. Ale poznałem i zaakceptowałem go, tak głęboko i tak całkowicie, że jego śmierć przeżyłem jak stratę ważnej części siebie. Diablenie mnie bolało, kiedy zmarł. Bolało mnie, że go już nie mam, ale jeszcze bardziej

boleło mnie to, że w przeciągu tych kilku lat nie udało się nam naprawić naszych relacji. Byłem mu coś dłużny, poza tym we mnie też zostało coś niedokończonego, niedokonanego, coś, co było na wyciągnięcie ręki i ofiarowało mi się, ale nie umiałem tego dostrzec. Dręczyła mnie jakaś pustka, jakby ucisk w miejscu dawno usuniętego organu.

Wszystko to spokojnie czekało w uśpieniu, dopóki byłem młody i poznawałem samego siebie, ale kiedy pochowałem ojca, wystąpiło ze zdwojoną siłą, mniej więcej właśnie wtedy, kiedy spotkałem Ciebie (może to wszystko ma coś wspólnego z Tobą, z naszą miłością, z moim wewnętrznym uspokojeniem, które pojawiło się w trakcie naszego związku). Prześladowało mnie uczucie, że byłem wobec niego oschły, że pozostaję mu dłużny, że dostatecznie wrażliwy człowiek mógłby, a nawet powinien go pokochać i tą miłością wypełnić przynajmniej część tego, co zabrały strach, słabość, niepewność i wszystko inne, co wiąże się z poczuciem wyobcowania. Ale ja nie byłem wrażliwy, byłem młody, samolubny i szorstki, więc to ja jestem winny i dłużny. Nie jemu, on teraz nie żyje i obojętne są mu wszystkie długi, ale dłużny samemu sobie i wobec siebie winny, bo we mnie w tym miejscu, które u normalnych ludzi wypełnia miłość do ojca i pamięć o nim, znajduje się pustka.

Kilka lat po spotkaniu z Tobą, kiedy przystałem na naszą miłość i uspokoiłem się, od czasu do czasu, jeśli pamiętasz, zacząłem znikać w swoim pokoju jak mój biedny ojciec. Słuchałem jego płyt, próbując się do nich przekonać, wmawiając sobie, że to zawodzenie, jeśli go słuchać z kimś bliskim albo z myślą o kimś bliskim, kto je kocha, może się nawet podobać. Do tego czytałem spuściznę po dziadku Maksie, wierząc, że przez „rekonstrukcję dziadka” odświeżę i zachowam dla siebie przynajmniej matką część mojego ojca, tak bardzo dziadkowi oddanego. Nie żebym ojcu czy komukolwiek innemu zwracał dług, ale ze względu na siebie, na potrzebę pamięci, w której nie jawiłby się jako człowiek niepełny, pożyczony i spłoszony. W spuściznie po dziadku Maksie znalazłem ten napisany po niemiecku list:

»Drogi, Stary Przyjacielu,

Nie wiem, czy po tylu latach, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania, jeszcze pamiętasz mnie i naszą gimnazjalną przyjaźń, a co dopiero list, który wysyłałem Ci w kwietniu 1920. Piszę do Ciebie właśnie z jego powodu i to jego dotyczy wszystko, co mam Ci do powiedzenia w niniejszym liście, prawdopodobnie ostatnim znaku życia, który między sobą wymienimy.

W tamtym liście próbowałem Ci wytłumaczyć, dlatego opuszczam Bośnię, czy raczej z niej uciekam, jak to byłeś łaskaw nazwać przy okazji naszego ostatniego spotkania. Napisałem Ci, że Bośnia to kraj nienawiści i że ta nienawiść nie pozwala mi tam zostać, nie mogę jej znieść i z nią żyć, ale też nie mogę jej usunąć. Pisałem, że mnie, medykowi, ta nienawiść przypomina chorobę, którą należałoby gruntownie przebadać i leczyć najradykałniejszymi środkami. Ze świadomością tego, jak bardzo obraźliwe i bolesne mogą być dla Ciebie te moje twierdzenia, starałem się przekonać Cię do nich, przywołując osobiste wspomnienie jednej bezsennej sarajewskiej nocy, tej nocy, kiedy zdecydowałem się wyjechać z Bośni. Żebyś sobie przypominał, zacytuję ten fragment listu, pamiętasz,

że jeszcze jako gimnazjalista wszystkie osobiste wiadomości pisałem w dwóch egzemplarzach i jeden zostawiałem sobie:

Ciężko i pewnie bije zegar katolickiej katedry: druga po północy. Mija ponad minuta (dokładnie siedemdziesiąt pięć sekund – liczyłem) i trochę słabszym, ale przenikliwym tonem odzywa się zegar cerkwi prawosławnej, on też wybija swoją drugą po północy. Chwilę później daje o sobie znać wieża zegarowa przy meczecie Gazi Husrev-beja, trzymając się nieodgadnionej rachuby dalekich, obcych krajów, przytłumionym odległym głosem wydzwania godzinę jedenastą, upiorną turecką godzinę! Żydzi nie mają swojego zegara, jeden Bóg raczy wiedzieć, która u nich jest godzina, która wedle czasu sefardyjskiego, a która wedle aszkenazyjskiego. Właśnie w nocy, kiedy ludzie śpią, w liczeniu pustych godzin głuchego czasu pojawia się różnica, różnica, która dzieli uśpionych, a po przebudzeniu radujących się, smucących, uczujących i poszczących stosownie do czterech różnych zwaśnionych kalendarzy i ślących do jednego nieba życzenia i modlitwy w czterech różnych językach liturgicznych. Ta różnica, raz jasno i wyraźnie, raz skrycie i zdradliwie, zawsze przypomina nienawiść, a często po prostu nią jest.

Tak pisałem w kwietniu 1920, szczerzy i pewny swoich racji, ale i rozgoryczony, że nic nie mogę zmienić, zrozpaczony, że muszę opuścić swój kraj i przekonany, że jego rozdarcie i słabość, z powodu której wszyscy, łącznie ze mną, uciekają, wynika z niedostatku jedności doskonale widocznego na przykładzie tych wcześniej wspomnianych czterech rachub czasu. Dzisiaj już tak nie myślę, wręcz przeciwnie, jestem pewien, że sprawy mają się zupełnie odwrotnie niż wtedy mi się zdawało. Obawiam się jednak, że i tym razem, tak jak wówczas, bardzo mijam się z prawdą. Często kiedy jestem czegoś stuprocentowo pewien, przekonuję się, że się mylę. Dlatego piszę do Ciebie ot tak, bez jasnej przyczyny, bo może Ty wyczujesz prawdę, znajdziesz ją powiedzmy gdzieś w środku między tymi dwoma moimi wyznaniem.

Siedemnaście okrągłych lat od naszego ostatniego spotkania spędziłem w krajach, w których nie bez powodu wierzy się w rzeczywistą narodową i państwową jedność, najpierw we Włoszech, gdzie ta jedność, kiedy tam byłem, dopiero co się ziszcila i dlatego ją gromko świętowano, obnoszono się z nią i gęsto ją komentowano, później we Francji, gdzie istnieje już od tylu lat, że nikt na nią nie zwraca uwagi, bo wszyscy traktują ją jak coś oczywistego. Mam prawo uważać, że świat jedności widziałem i doświadczyłem na własnej skórze. Mimo to przyznaję, że nie odkryłem, dlaczego to dobrze jak wszyscy dostosowują się do jednego kalendarza i jednoczą się w jednym wspólnym pojmowaniu czasu. Nie znalazłem ani jednego przekonującego argumentu, żeby cieszyć się z tej jedności (jedności, której kiedyś tak bardzo pragnąłem!), natomiast przyszło mi do głowy kilka solidnych powodów, by wątpić w jej zalety. Człowiek z czasem się zmienia, drogi mój stary Przyjacielu. Kiedy minie Twój czas, skończy się też Twoje życie; Twoje prawdziwe życie to tylko to, czym wypełniłeś swój czas, jaki nadałeś mu kształt i w jakiej formie wystawiłeś na światło dzienne. I tak jak nie można żyć poza ciałem i poza światem, tak samo nie da się oddzielić swojego czasu od swojego życia. Dlatego nie rozumiem, dlaczego ją i, dajmy na to, moja sąsiadka, która ledwo chodzi,

i mój pacjent gruźlik, i jego rumiany synek, który nawet nie przeczuwa, że niedługo zostanie sierotą, i ten wesolek, co ma piekarnię na parterze, i jedna stara panna, która twierdzi, że robi najlepsze kapelusze w Paryżu, dlaczego my wszyscy mielibyśmy jednoczyć się w ramach jednego odczuwania czasu (czyli w jednym i niepowtarzalnym odczuwaniu życia). Co by nam to dało, w czym by nam ta jedność pomogła? Czy cieszyłaby mnie albo przynajmniej pocieszała myśl, że oto właśnie godzina druga wybiła równocześnie u modystki, piekarza i u mojego pacjenta? Ani sekundę za wcześnie, ani za późno, tylko właśnie teraz, w tym momencie co u mnie. Czy dzięki temu byłoby mi lżej znosić moją bezsenność, która, mówiąc szczerze, pojawiła się dopiero, kiedy byłem daleko od Sarajewa? Nie byłoby. Jedynie zamazałyby się różnice między nami, nasza świadomość tych różnic i świadomość samych siebie, bo przecież to różnice między naszymi kalendarzami robią ze mnie lekarza, z mojego pacjenta przyszłego trupa, a z jego syna radość dla oczu. To kalendarz, względnie czas strąca w depresję starą pannę od najlepszych kapeluszy, to kalendarz, czyli czas powołuje do życia niespożyte tajemnicze siły, dzięki którym rączki syna gruźlika ochoczo machają.

Nie oskarżaj mnie zbyt pochopnie o karykaturowanie, Przyjacielu, ponieważ właśnie tak albo co najmniej podobnie jest ze wspólnotami ludzkimi. Wspólnota wiejska mierzy czas wschodami i zachodami słońca i czuje go w zgodzie z nimi, z porami roku, cyklem prac polnych, siewami, kiedy ogłasza się zaręczyny, i żniwami – czasem przyjęć weselnych. W mieście zaś, każda wspólnota mierzy i organizuje czas wedle własnych kryteriów i wedle osobnego kalendarza – piekarze po swojemu, a strażacy i funkcjonariusze ministerstwa wiary po swojemu, młode piękności z przedmieścia po swojemu i emerytowani konduktorzy po swojemu. Kto i jaką korzyść miałby z tego, gdyby oni wszyscy zjednoczyli się wokół jednego kalendarza i stworzyli jedno, wspólne dla wszystkich pojmowanie czasu? Oczywiście, znaleźliby się tacy. Nie wątpię i nie przeczę, że takie jednoczenie nie przynosi pożytku. Powiedzmy, ludzie, którzy muszą sporządzić rozkład jazdy kolei państwowych, za taką jedność powinni od serca dziękować.

Bez dwóch zdań, dobrze rozumiem, jak ważny jest rozkład jazdy kolei państwowych i radość tych, którzy nad nim pracują. Ale powiedzmy sobie szczerze, drogi mój stary Przyjacielu: czy nasze życie się polepszy, jeśli tak urządzimy świat, żeby wieśniacy, zamiast do cyklu pór roku, musieli swoje obowiązki dostosowywać do rozkładu jazdy i innych rozkładów wynikających z jednolitego kalendarza państwowego? Jestem medykiem, a nie politykiem, służę konkretnemu życiu ludzkiemu, a nie państwu i jego systemowi, więc moje pytania i odpowiedzi zawsze odnosić się będą do konkretnego życia poszczególnego człowieka. Byłoby mi przykro, gdyby moje pacjentki, albo choćby jedna z nich, zaczęły mierzyć swój czas wedle państwowego kalendarza jedności narodowej, a nie na podstawie comiesięcznych krwawień. Nie wiem, jaki jest twój stosunek do tej sprawy, może Ty wiesz, dlaczego byłoby to dobre i komu by to służyło, ale mnie na samą myśl o takim świecie robi się gorąco z przerażenia.

Niech Ci się nie wydaje, że przesadzam, Przyjacielu. Jeśli tak sądzisz, rozejrzyj się dookoła i zwróć uwagę, że niemal cała dzisiejsza Europa jest obszarem takiej

jedności, gdzie ludzie żyją dla państwa i wszystkich obowiązuje jeden jedyny państwowy kalendarz – wedle rozkładu jazdy wieśniacy sieją i żną, a kobiety mają krwawienie miesięczkowe. Oczywiście mam świadomość, że nie odbywa się to dokładnie według rozkładu jazdy kolei państwowych, ale wiemy to obaj, ty i ja, że tak to i wszystko inne działa – zgodnie z kalendarzem, do którego w tych państwach dostosowuje się rozkład jazdy i każdy regulamin, kalendarzem opierającym się na zasadzie całkowitej jedności. Wierzę, że ta jedność jest dobra dla państwa, ale obawiam się, że dla życia ludzkiego raczej nie ma większego znaczenia, nie mam pewności, ale wydaje mi się, że jako lekarz umiem to wyczuć. Prawdopodobnie takie jednolite państwo jest bardzo rentowne i wydajne jak maszyna, czyli jako system i tym samym dobrze zorganizowane, ale mnie nie uszczęśliwia wizja służenia swoim byciem i jedynym życiem maszynie, jakkolwiek wydajna i rentowna by była.

Kiedy tutaj we Francji próbowałem zapuścić korzenie, przez około rok jako lekarz byłem z jednostkami wojskowymi na pustyni. Tam dowiedziałem się, czym jest doskonała jedność, nie do wyobrażenia tam, gdzie pulsuje życie. W ogrodzie albo w lesie wszystko różni się od siebie, oddziela się każdy element i pilnuje swojej odmienności, jakby od tego zależało jego przetrwanie, wszystko się mieni, krzyczy kolorami, wszystko się ze sobą kłóci i broni swojej niepodzielności. A na pustyni wszystko jest ułożone równo i jednolicie, wszystkie ziarna piasku poddają się jednemu kolorowi i jednemu kształtowi, wszystkie podobne do siebie wydmy pozostają w zgodzie z obowiązującą zasadą jedności. To znaczy śmierć. (Muszę jednak zaznaczyć, że ludzie bardziej doświadczeni uświadamiali mnie, że z pustynią do końca też tak nie jest, jak my, laicy to widzimy. Może śmierć też nie jest aż tak prosta i dla wszystkich jednakowa, jak się nam wydaje, chociaż tego nie możemy wiedzieć, bo przecież nie ma ludzi wystarczająco biegłych w śmierci, żeby mogli rozpoznać różnice i zwrócić nam na nie uwagę.)

Oto doświadczenie, które zdobyłem i myśli, które mnie nie opuszczają od kiedy wyjechałem z Bośni. 'Uciekłeś', powiedziałeś przy okazji naszego ostatniego spotkania i tym słowem ująłeś mnie za serce. Ostatnimi laty sam coraz częściej myślę, że miałeś wówczas rację. Bo ja uciekłem, gdy to dobrze rozważyć, trzeba przyznać, że w 1920 naprawdę uciekłem z Bośni.

Ale dlaczego i od czego uciekłem? Ile razy zadawałem sobie to pytanie, za każdym razem dostawałem inną odpowiedź i każda z nich na pierwszy rzut oka wydawała mi się przekonująca, ale nazajutrz była już tylko naciągany zmyśleniem, służącym za środek uspokajający. I za każdym razem, kiedy odrzucałem którąś z nasuwających się odpowiedzi, w moich myślach powracał jeden niemożliwy do odrzucenia powód, właśnie ten, o którym ci wspominałem w poprzednim liście: uciekłem z Bośni, bo tam różnica między ludźmi i ludzkimi wspólnotami strzeże się jak żrenicy oka. A to wywołuje atmosferę bardzo gęstej i nieznośnie intensywnej rzeczywistości, albowiem naszą ludzką rzeczywistość my ludzie wzajemnie sobie stwarzamy (budynki i wiatry, wody i rośliny, cały ten materialny świat wokół nas to raczej tylko atmosfera, dodatek, rama, w którą ujęte są nasze spotkania z ludźmi – stanowiącymi istotę naszej ludzkiej rzeczywistości). W tej atmosferze

niezobowiązująca pogawędka wciągga i pochłania bez reszty, bo współrozmówca okazuje się naprawdę zupełnie Inny. Wprawdzie działa to w dwie strony, my również jesteśmy zajmujący, ale niewielka to pociecha, przecież w innym wypadku skończyłoby się na wymianie pozdrowień i ewentualnie dwóch słowach o pogodzie. I chociaż najchętniej byśmy się sobie tylko ukłoniłi i uraczyli jakimś zwrotem grzecznościowym (czyż tak nie robimy!?), my jednak ze sobą naprawdę rozmawiamy; chociaż przez całe życie wolelibyśmy omijać się szerokim łukiem, znamy się względnie dobrze, bo różnice między nami zmuszają nas do tego, żebyśmy się sobą interesowali i wzajemnie poznawali, czy chcemy tego, czy nie. W tej atmosferze wszyscy jesteśmy na siebie skazani i sobie przeznaczeni. Czy człowiek, który wraca z wojny, gdzie aż z nadmiarem miał do czynienia z ludźmi, przede wszystkim z ich ciemną stroną, może nawet najsilniejszą, może najprawdziwszą... czy taki człowiek może chcieć, czy umie znosić osobiste spotkania ze wszystkimi mieszkańcami swojego miasta? Oczywiście, że nie! Ze wszech miar miałem dość ludzi, potrzebowałem przede wszystkim ciszy i samotności. Sądzę, że dlatego uciekłem z Sarajewa, uważam, że uciekłem właśnie od tego. W normalnym mieście człowiek żyje, jeśli nie ma nic przeciwko niemu, a w Sarajewie może mieszkać tylko pod warunkiem, że ma przynajmniej jeden ku temu powód. A ja nie miałem ani jednego, z wojny wróciłem nie do domu, ale do rodzinnego miasta, w którym czułem się obcy, bo nikogo uż tam nie miałem.

Oto co Ci chciałem napisać, zanim się rozstaniemy na zawsze. Ważne jest dla mnie, żeby Cię zapewnić, że nie ma we mnie goryczy, jedynie wątpliwości. Czy powinienem walczyć ze zmęczeniem i obrzydzeniem wobec ludzkiej natury? Czy nie byłem sam sobie winien walki o Bośnię i jej świat różnic, dopóki jeszcze miała prawo bytu w świecie totalnej jedności? Na pewno wtedy się nie myliłem, bez wątpienia bośniacka pielęgnacja różnic często przypomina nienawiść a czasem po prostu nią jest, ale to nie powód, żeby rezygnować ze swojego miasta i wyjeżdżać, przecież drobiazgowa troska o różnorodność świadczy o tym, że wydajemy się sobie ciekawi i jesteśmy dla siebie ważni. Z nienawiścią jest jak z bólem: nie usprawiedliwiam go i nie uszlachetniam, walczę z nim, ile tylko mogę, ale nie zapominam, że człowiek żyje, dopóki może odczuwać ból. Czy naprawdę zrobiłbym dużo, zabijając swojego bliźniego, żeby oszczędzić mu bólu? Czy aby na pewno w ten sposób wyświadczyłbym mu przysługę?

Nie czuję się winny i nie uważam, żebym pozostał cokolwiek dłużny Bośni czy komukolwiek stamtąd. Byłoby nadmierną przesadą każdy uczynek z mojego późniejszego życia tłumaczyć uprzednią ucieczką. A jednak lubię myśleć, że w mojej decyzji o przystąpieniu do międzynarodowych brygad broniących Hiszpanii kryje się przynajmniej krztka walki o Bośnię, chętnie porównuję je z Bośnią i w nich ją znajduję. Kolorowe i piękne, jak tąka i bośniacki kilim.

To chciałem Ci powiedzieć, Przyjacielu: jadę do Hiszpanii, bez cienia goryczy, spokojny i pogodny.

Dużo szczęścia życzy Ci

Twój Maks L.«

Nie wiem jak, wolałbym nie wchodzić w psychologię głębi (nigdy jej nie potrzebowaliśmy, kochamy się), ale wydaje mi się, że ten list w znacznym stopniu przyczynił się do mojej decyzji o wyjeździe do Sarajewa. Dlatego przetłumaczyłem go dla Ciebie, w nadziei, że może Ty też rozpoznasz to, co na mnie wpłynęło i lepiej mnie zrozumiesz (ale również, a nawet przede wszystkim dlatego, że bardzo lubię coś dla Ciebie robić).

Dobrze mnie zrozum, kochana Andreo, proszę Cię: to wszystko nie ma najmniejszego związku z Tobą i nie ma żadnego związku z moim ojcem, to są moje poszukiwania jakiejś wewnętrznej równowagi. Moja miłość do Ciebie jest zupełnie oczywista, niezachwiana i spokojna, a tam, gdzie powinna być miłość do ojca, znajduje się wina i pustka. Brakuje miłości dziecka do ojca, która zrównoważyłaby miłość dorosłego mężczyzny do kobiety, dlatego daję o sobie znać wewnętrzne rozchwianie. A może moje wyjaśnienia są zbyt mechaniczne? Prawdopodobnie tak, ale jakoś muszę to wytłumaczyć.

W każdym razie muszę pojechać do Sarajewa. Tego dnia, kiedy dowiedziałem się, co tam się dzieje, zdecydowałem, że pojedę. Być może wszystkie te opowieści o dziadku Maksie i moje skomplikowane stosunki z ojcem to czysta mistyfikacja, służąca za wyjaśnienie potrzeby, która pojawiła się we mnie sama z siebie? Prawdopodobnie każdy stosunek syna do ojca jest równie skomplikowany, co mój, albo jeszcze bardziej, ale normalni synowie nie odczuwają potrzeby wyjechania w świat i do swoich relacji nie dorabiają wzruszających historyjek. Może po prostu mam dość tej mechanicznej pseudomistyki jedności i dlatego muszę udać się tam, gdzie jeszcze nie słyszeli ani o mechanice, ani o jedności? A może już nudzi mi się wygodne życie sumiennego podatnika i potrzebuję przygody, świata przejętego strachem? Albo chodzi o mistykę liczb i brył geometrycznych, która jest Tobie tak bliska? Powiedzmy o pitagorejskie skłonności umitowanego Boga, który moim losem chce zamknąć koło? Nie wiem, Kochana, naprawdę nie wiem, wiem jedynie, że muszę wyjechać do Sarajewa. Nie ze względu na Maksa ani ojca Paula, ale dla siebie. Czyli również dla nas, dla Ciebie, czyż nie?

Jadę, bo mam nadzieję, że tam wstąpi we mnie jakaś prawdziwa, dobra równowaga. A potem wrócę, stabilny, spokojny i silny. I będę kochał, kochał, kochał... Tylko poczekaj, aż przyjadę!

Pierwszy raz tak, ale od zawsze i na zawsze Twój

Moritz Löwenfeld".



Rysunek Irek Konior